

ROZDZIAŁ IV.

Wyrok przysięgłych.

Rozwiązanie tajemnicy w tej formie było tak niespodziewane, że przez chwilę, jakby ogłuszyło wszystkich obecnych. Kiedy minęło pierwsze wrażenie, wszyscy zaczęli rozprawiać tak głośno, że w gwarze nic nie było słychać. Dopiero, kiedy sędzia zagroził opróżnieniem sali, nastał względny spokój.

— Pana wybuch i słowa użyte były bardzo niewłaściwe — zwrócił się sędzia do Gordona.

— Proszę o przebaczenie. — Młody oficer mówił z wielkim wysiłkiem. — Pana twierdzenie było tak nieprawdopodobne, tak niesłychanie dziwne i nie do wiary, że się zapomniałem i uniosłem.

— Niestety, to co powiedziałem, jest oczywiście prawdą i może być każdej chwili stwierdzone przez dr. Daisa i detektywa Hardygo, którzy obaj byli przy znalezieniu sygnetu. Ręka pani Trevor była tak silnie zaciśnięta, że dopiero siłą musiano ją otworzyć. Może nam pan wyjaśnić, w jaki sposób ten pierścień dostał się w posiadanie pani Trevor? — Spojrzał na Gordona przenikliwym wzrokiem, ale ten już opanował się na tyle, że twarz jego przybrała spokojny wygląd. Odpowiedział też z zupełnym spokojem i miną nic nie mówiącą:

— Nie, tego nie mogę panu wyjaśnić.

— Gdzie pan był we środę wieczór w ubiegłym tygodniu?

— Jadłem kolację z porucznikiem Jamesem Raymond w klubie Metropol. Potem obaj poszliśmy na bal.

Przewodniczący zamienił kilka słów po cichu z jednym z pisarzy, poczem zwrócił się znowu do świadka.

— Proszę, niech pan uda się jeszcze do poczekalni dla świadków, panie Gordon. Proszę jednak nie wychodzić z tego domu, będę pana bowiem potem musiał jeszcze raz przesłuchać.

Gordon, opuszczając salę, ukłonił się Dikowi Tillinghast i kilku znajomym.

Następnym świadkiem był porucznik Raymond. Ten nie wiele miał do powiedzenia. Przyznał, że razem z kapitanem Gordonem jedli we środę ubiegłego tygodnia kolację. Wyszli jednak bardzo wcześnie z klubu, gdyż on, porucznik Raymond, należał do komitetu i musiał dosyć wcześnie stawić się w hotelu New-Willard. Nie, pan Gordon nie odprowadził go tam wcale. Pożegnał się z nim na rogu ul. 17 i ulicy H. Powiadał, że chce jeszcze zajrzeć do domu, a dopiero potem przyjdzie na bal. Istotnie Gordon przyszedł na zabawę, ale bardzo późno, kiedy już było po kolacji, która odbyła się po północy.

— Czy pan to wie z całą pewnością? — zapytał sędzia.

— Tak, z całą pewnością. Musiałem nawet wyszukiwać zastępcę do tańca dla panny Underhill, gdyż Gordon zaangażował ją do kotylicy i nie stawiał się na czas.

— Ile czasu mógł potrzebować pan Gordon, aby z owego rogu, na którym panowie rozstaliście się, dojść do siebie do domu.

— On mieszka w ulicy Benedikt; a więc około pięciu minut.

— A z ulicy Benedikt do hotelu New Willard?

— Siedem minut tramwajem elektrycznym, a dzieśnięć, najwyżej piętnaście minut piechotą.

Na tem zakończyło się przesłuchanie porucznika, miejsce jego na ławie świadków zajął detektyw Hardy. Swoje zeznania rozpoczął od tego, że w krótkości przedstawił wszystko, co zaszło od chwili znalezienia ciała pani Trevor.

— Czy znalazł pan jaki ślad, któryby wskazywał, gdzie się znajduje drugi kawałek narzędzia mordu? — zapytał przewodniczący.

— Nie, przewróciłem cały pokój formalnie do góry nogami, nie mogłem jednak nigdzie nic znaleźć. Jedynym oparciem w moich poszukiwaniach, które mogłem wykorzystać w dalszych kombinacjach, był pierścień znaleziony w ręce trupa. Poznałem od razu, że jest to sygnet pamiątkowy ze szkoły nautycznej wojskowej. Udałem się też zaraz do ministerium marynarki. Przejrzałem tutaj listę uczniów z Annapolis i znalazłem dwa nazwiska,

które miały monogramy D. G. : Donald Gordon i Daniel Green. Ostatni stacyonowany jest obecnie w Mare Island w Kalifornii, nie mógł więc wchodzić w rachubę, udałem się więc do mieszkania pana Gordona.

Tu zrobił opowiadający małą pauzę.

— Proszę, mów pan dalej — zachęcał go sędzia. — Niech pan opowie na swój sposób.

Wszyscy sędziowie przysięgli pochyliłi się naprzód, z uwagą słuchając opowiadania urzędnika.

— Stróż domu w Benedikt jest moim przyjacielem i otworzył mi też zaraz swoim kluczem mieszkanie Gordona. Przeszukałem je całe, nic nie znajdując. Zabrałem się więc do rewizji ubrań i znalazłem w wewnętrznej kieszeni paltota resztki podartego biletu. Nie wiele czasu potrzebowałem, aby zestawić te kawałeczki. Nalepiłem potem te wszystkie szczątki na kawałek papieru. Oto są! Niech panowie sami przeczytają!

Wyciągnął z kieszeni portfel, z którego dobył półarkusik papieru i podał go przewodniczącemu. Ten obejrzał nalepione szczątki biletu i zdumiał się. Następnie odczytał głośno:



— Niech was wszyscy dyabli wezmą, to jest podłe kłamstwo!

— „Przyjdź... środę... wpół do dwunas... muszę z panem... zanim... Nowy York opuś...”

Hele... T...”

Bez żadnych objaśnień podał przewodniczący papier ten przysięgłym, którzy zaczęli go pilnie studyować.

— Czy ma pan jeszcze co do powiedzenia?

— Nie, panie sędzio — to już wszystko.

— Może pan odejść, panie Hardy.

Następnie polecił przewodniczący woźnemu:

— Bayne, proszę znowu wezwać do sali kapitana Gordona.

W sąsiednim pokoju oczekiwał on niespokojnie na dalsze rezultaty śledztwa, spacerując nerwowo tam i z powrotem. Wezwany stawiał się z wielką skwapliwością.

— Panie Gordon! Gdzie był pan w ów wieczór środy między godziną wpół do dziesiątej, a północą?

— Odmawiam odpowiedzi.

— Ba! Wiemy bardzo dobrze, że pan o godzinie wpół do dwunastej w nocy złożył wizytę pani Trevor.

— Taak?! A czy mogę dowiedzieć się, kto to panom powiedział?

Sędzia nie odpowiedział na jego zapytanie, tylko ciągnął spokojnie dalej:

— Czy pani Trevor sama pana wpuściła?

Gordon milczał. Sędzia powtórzył jeszcze raz swoje zapytanie. Nie było odpowiedzi.

— Panie Gordon, pan musi odpowiedzieć. Tak czy nie?

Kapitan Korwety poprawił się niespokojnie na statku.

— Byłem w moim mieszkaniu, z którego nie wychodziłem, aż udałem się na bal — odpowiedział wreszcie.

— Czy był kto wtedy u pana?

— Nie, nikt.

— Czy widział pana kto, jak pan opuszczał swoje mieszkanie?

— O ile pamiętam, nikt — dodał następnie pośpiesznie. — Jest możliwe, że ktoś mnie widział, ale ja na to wtedy nie zważałem.

— Panie Gordon! — głos sędziego brzmiał twardo i surowo — czy zna pan te resztki biletu wizytowego?

Wziął ze stołu arkusz i pokazał go zapytanemu.

— Są to, jak pan sam widzi, resztki biletu wizytowego, na którym pani Trevor pisze do pana i wzywa go, abyś o wpół do dwunastej w nocy w ową środę do niej przybył. Te kawałki znaleziono w pana paltocie. Pytam więc jeszcze raz: czy pani Trevor wpuściła wtedy pana do domu?

Gordon spojrzał na pokazywany mu arkusz i poznał natychmiast pismo pani Trevor. Usta zaciśnął mocno, tak, że utworzyły prostą linię. Twarz silnie mu pobladła. Wyprostował się jednak natychmiast i spojrzał przysięgłym prosto w oczy, kiedy odpowiedział:

— Nie chcę przeciwko sobie samemu świadczyć.

W śmiertelnej ciszy, jaka po tych słowach zapanowała, słychać tylko było skrzypienie ołówków dziennikarzy i stenografów po papierze.

— Może pan odejść — oświadczył przewodniczący przesłuchiwanemu.

Po chwili przesłuchanie świadków zostało ukończone. Przewodniczący wygłosił krótkie i treściwe résumé dotychczasowego dochodzenia. Gdy skończył, opuścili przysięgli pokój i udali się na naradę.

Wskazówka zegara, umieszczonego na kominku, pięć razy już obiegła tarczę dookoła, a mimo to napływ ciekawych nie zmniejszał się. Ci, co przyszli, wytrwali, bądź powodowani współczuciem dla nieszczęśliwej rodziny, bądź też prostą ciekawością. Na takie zakończenie dochodzenia nikt nie był przygotowany.

Kiedy przysięgli rozpoczęli narady, w salce bibliotecnej zapanowało milczenie i nerwowe napięcie. Wszyscy czekali niecierpliwie na wyrok, jaki za chwilę miał zapadnąć. Napięcie doszło do ostatecznych granic, kiedy

drzwi rozwarły się szeroko i weszli z powrotem przysięgli. Przewodniczący powstał.

— Panowie przysięgli, jaki wyrok panowie wydaliście?

— Sędziowie przysięgli orzekają, że pani Helena Trevor, urodzona de Beaupré, została we środę dnia 3 lutego 19... wieczorem zabita przez kapitana korwetowego Donalda Gordona.

ROZDZIAŁ VII.

Sprawa się wikła.

Skrzyp... skrzyp... tam i z powrotem... to tu, to tam rozlegały się niestrudzone kroki. Czy on nigdy się nie zmęczy, nigdy nie przestanie tak spacerować? Alfred Clark pochylił się, aby zajrzeć przez dziurkę od klucza do zamkniętej biblioteki.

Nagle nad drzwiami wchodowymi zadzwieczał donośnie gong. Clark miał zaledwie tyle czasu, że przebiegł przez szeroki hol i wpadł do swojego biura. W przedpokoju ukazał się Wilkins.

Ciąg dalszy nastąpi.